

Łosiewicz-Chmurowa, Zofia

Nareszcie w nowym gmachu

Przegląd Pruszkowski nr 1, 23-36

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

rodzice. Wyrazem radości tych ostatnich, radości ujętej zapobiegliwie w cugle rozsądnej troski o jak najlepsze wyposażanie nowo adaptowanego budynku, Koło Rodzicielskie przy gimnazjum Zana zorganizowało w dniu 1 marca 1930 roku koncert-bal. Protektorat nad imprezą objęli: wojewoda warszawski inżynier Stanisław Twardo i kurator okręgu szkolonego warszawskiego Grzegorz Zawadzki, zaś w skład Komitetu Honorowego weszły niemal wszystkie ówczesne znakomitości Pruszkowa, znane z obywatelskiej gotowości w służbie społeczeństwu.

Tak więc pierwsza, nieoficjalna inauguracja gmachu odbyła się szumnie i wesoło, przynosząc profit szkolnej kasie, której potrzeby w tym momencie były bardzo duże.

Następnym faktem, cementującym po wsze czasy budynek przy ulicy Klonowej 4 z gimnazjum Zana, były egzaminy maturalne, które w maju 1930 roku odbyły się w nowej siedzibie, przynosząc plon w postaci świadectw dojrzałości dla szczęśliwej trzynastki abiturientów.

Tradycyjny bal maturalny odbył się tegoż roku 14 czerwca, również w nowej siedzibie szkoły.

We wrześniu zaś nastąpiło ostateczne objęcie gmachu czyniąc rok szkolny 1930/31 przełomowym w dziejach zaniackich.

NARESZCIE W NOWYM GMACHU

„Dziś, kiedy jesteśmy nareszcie w nowym gmachu, zawrze na nowo życie we wszystkich organizacjach szkolnego społeczeństwa” — pisał kwartalnik „Swit” w numerze z września 1930 roku. Wspomniane czasopismo było — jak wynika z winiety tytułowej — wydawane staraniem Koła Historyczno-Literackiego i spełniało rolę oficjalnego organu szkoły w miejsce uprzednio wydawanego „Sztubaka”.

Jest więc oczywistym, że na pierwszej stronie wspomnianego numeru „Switu” widnieje duża fotografia budunku przy ulicy (wówczas Klonowej, aktualnie: I. Daszyńskiego) pod numerem 4, budynku stanowiącego uwieńczenie starań i spełnienie marzeń zaniackiej społeczności.

Pani Ostrowska tak oto wspomina radosny moment zyskania tak potrzebnej dla rozwoju szkoły przestrzeni:

„...I oto w roku szkolnym 1930/31 Gimnazjum mieści się już przy ul. Klonowej (Daszyńskiego).

Klasy — każda w innym stylu (łowickim, kaszubskim, zakopiańskim itd.), biblioteka liczy około 3 tysięcy tomów (nie było ani jednej książki w 1921 r.). Pracownie: biologiczna, fizyczna, chemiczna, robót ręcznych (w sąsiednim budynku); gabinet lekarski i dentystryczny. Zapał do pracy nie gaśnie”.

Istotnie, zapał, który w warunkach ulicy Narodowej mógł być podsycony tylko ogromnym optymizmem, ma nareszcie realne podstawy, warunki do rozwijania inicjatywy. Budynek, mówiąc szczerze, nie jest żadnym „wystrzałem” architektonicznym w naszym rozumieniu tego słowa. Lecz my jesteśmy już zblazowani cudami różnych „tysiąclatek”, budynków szkolnych będących wynikiem współpracy całego legionu

fachowców od architektów do psychologów i ortopedów włącznie. Spróbujmy jednak spojrzeć na obiekt ten z perspektywy lat trzydziestych i z pozycji ówczesnej sytuacji Pruszkowa, który nigdy nie był miastem Krezusów, co musiało w sposób szczególnie dotkliwy zamianifestować się w opisywanym czasie, w latach kryzysu.

Jeżeli dwie te okoliczności weźmiemy pod uwagę, dojszć musimy do wniosku, że nowa siedziba gimnazjum Zana była wcale okazała i obszerna. Trzykondygnacyjna budowla o dwóch klatkach schodowych (podzielonych według „założeń wychowawczych” na męską i damską), mieściła 10 sal lekcyjnych, pokój nauczycielski, gabinet dyrektora, gabinet lekarski, dwie sale gimnastyczne i jedną rekreacyjną, pięć pracowni oraz bibliotekę. Były także oddzielne dla chłopców i dziewcząt szatnie, toalety i umywalnie oraz stołówka.

W porównaniu z warunkami poprzedniej siedziby, było to lokum z pogranicza marzenia, więc zawrzała u Zana praca. Wspomniane uprzednio pismo „Swit” jest już w 1930 roku dalszym milowym krokiem zaniackiej braci w zakresie redagowania prasy. Artykuły opatrzone są tytułami, zaś te ostatnie publikowane według ważności poruszanych problemów, czyli wydawnictwo z prawdziwego zdarzenia.

W zachowanych Dziennikach Koła Historyczno-Literackiego, którego Sekcję Literacką prowadziła pani Ostrowska, zaś Sekcję Historyczną profesor Mieczysław Warpechowski — zostały z godną podziwu skrętnością zaprotokołowane wszystkie imprezy zorganizowane przez zrzeszoną tu młodzież. A więc w setną rocznicę powstania listopadowego wspomniane Koło przygotowało uroczystą akademię, na którą złożyły się dwa referaty, z których jeden ilustrowany był recytacją poezji, dalej występy soliistów produkujących się na fortepianie i skrzypcach, występ chóru szkolnego pod dyrekcją profesora Prusaka oraz odegranie fragmentu „Warszawianki” Wyspiańskiego. Imprezie patronowała, rzecz jasna, pani Ostrowska, niezastąpiona Stasia, która była zresztą reżyserem wszystkich akademii, doradcą artystycznym i aranżerem wszelkich produkcji deklamatorskich, a nadto redaktorem odpowiedzialnym i inspiratorem czasopisma „Swit”.

Działalność „Stasi” nie ograniczała się wszakże do zajęć w obrębie Gimnazjum Zana. Uczestniczyła bowiem w różnych pracach społecznych na terenie Pruszkowa, między innymi prowadziła wykłady z zakresu literatury polskiej na otwartym w 1934 roku Uniwersytecie Powszechnym.

Uświadomiwszy sobie, że jako polonistka miała do poprawiania w domu stopy zeszytów, że uczestniczyła w odbywających się z reguły po lekcjach posiedzeniach Rady Pedagogicznej i w zebraniach z rodzicami — tak zwanych „wywiadówkach” — że miała także rodzinę składającą się z męża i trzech synów, trzeba pochylić czoło przed pracowitością i samozaparciem tej kobiety.

Czas płynął, a każdy rok niósł ze sobą jakieś ważne rocznice, które nadawały kierunek pracom Koła Historyczno-Literackiego. Na podstawie zachowanego fragmentu książki protokołów dowiadujemy się, że pierwsze miesiące roku szkolnego 1931/32 Sekcje: Historyczna i Literacką wspomnianego Koła podzieliły pomiędzy Juliusza Słowackiego a Józefa Piłsudskiego. Wieszcz absorbował młodzież z racji przypadającej na 1932 rok setnej rocznicy wydania drukiem dwóch pierwszych tomów jego poezji. Referaty związane z marszałkiem, jego życiem i działalnością — przygotowano na okoliczność imienin Piłsudskiego. Pragnąc uświetnić uroczystą akademię ku czci Piłsudskiego, jaka odbyła się

w dniu 19 marca, jeden ze starszych kolegów napisał panegiryczny utwór, który przeszedł do historii szkoły, a który zaczynał się od słów:

O część ci, część Ci, kochany marszałku,
Za to, żeś krew przelewał dla kawałka
Ziemi.....

Tematów prac Koła w ciągu dalszych miesięcy roku szkolnego 1931/32 nie mogłam ustalić, gdyż — jak to wspomniałam wyżej — dysponowałam tylko fragmentem książki protokołów z tego okresu i ostatni zapis nosi datę 28 lutego 1932 r.

Prawdopodobnie zbliżający się koniec roku szkolnego skierował całą uwagę młodych entuzjastów literatury i historii na sprawy związane bądź z zbliżającym się terminem matury, bądź z promocją do następnej klasy.

Rok 1932 przyniósł doniosłą zmianę dla średnich szkół ogólnokształcących w całej Polsce, polegającą na zastąpieniu dotychczas obowiązującego systemu ośmioletniego na sześcioletni. Lecz nie to stanowiło rewelację. Zaskakującym novum, budzącym dyskusje i spory, był fakt wyodrębnienia — w obrębie owych sześciu lat nauczania — czterech klas gimnazjalnych, po ukończeniu których otrzymywało się tak zwaną „małą maturę” i dwóch klas licealnych, których ukoronowaniem było świadectwo dojrzałości, matura. Ponadto przewrót w dotychczasowym systemie nauczania stanowiło zróżnicowanie typów liceów ogólnokształcących. Ustanowiono więc licea humanistyczne, matematyczno-fizyczne, klasyczne i przyrodnicze. Przed przyszłymi absolwentami gimnazjum otwierała się z tą chwilą możliwość wybrania kierunku dalszego kształcenia się, jeszcze przed rozpoczęciem wyższych studiów.

Było to może niekorzystne dla tych absolwentów gimnazjów, którzy nie mieli określonych skłonności i zainteresowań. Lecz większość była z pewnością zadowolona, bowiem odtąd pragnąć poświęcić się humanistyce nie musieli zadreżać się geometrią wykresliną, funkcjami, różniczkami i innymi problemami, które dla humanistycznego umysłu są gorsze od Madejowego łoża. A i matematycy nie musieli wylewać siódmych potów nad wyrafinowanymi pracami na tematy związane z twórczością wieszczów i innych luminarzy literatury.

Dla szkoły pruszkowskiej zaś narodził się pewien paradoks: oto subtelny humanista, poeta i idealistyczny wielbiciel cnoty — Tomasz Zan — miał odtąd patronować liceum matematyczno-fizycznemu, taki bowiem charakter ustalono dla naszej szkoły. Niebawem jednak okazało się, że wiotki, zdawałaoby się, Tomasz nie tylko sprostał niełatwemu zadaniu patronowania szkole o zdecydowanie konkretnym i obcym jego zamiłowaniu profilu, lecz rozniecił w uczniach tak wielki zapał do humanistyki, że nauki ściśle istniały w najlepszym wypadku jako równorzędne, jeśli nie zgoła drugorzędne, przy wspaniałym geizerze uwielbienia wieszczów i śmiałych próbach uprawiania literatury, które to zjawiska były w tej szkole nagminne i stałe.

Moim zdaniem nie było to ze strony zacnego Tomasza żadnym wyczynem, mając bowiem za sprzymierzeńca „Stasię” Ostrowską, można było bez ryzyka podjąć się każdego dzieła.

Książka protokołów Koła Historyczno-Literackiego za 1933 rok, prowadzona wzorowo przez sekretarza Koła, koleżankę Zofię Kalisiewiczównę, obejmuje zapisy do końca kwietnia 1933 roku i warta jest przestudiowania. Już sama lista członków Koła Historyczno-Literackiego w roku szkolnym 1932/33 zawiera szereg nazwisk, które przydały blasku nie tylko szkole, lecz i Polsce. Byli więc wśród nich: Bolesław Ostrowski, Norbert Juchtman, Stanisław Kowalczyk i Jan Makowski

— bohaterowie lat wojny i okupacji, był Jerzy Sokorski — obecnie znany kompozytor i pedagog, dyrektor szkoły muzycznej w Piastowie, była Alicja Żarska — późniejsza nauczycielka w Gimnazjum i Liceum Zana, na tajnych kompletach zwana „Kassandrą”, i była gwiazda zaniacka pierwsze wielkości: Wojciech Żukrowski, który z dniem 15 listopada 1932 roku wszedł w skład Komitetu Redakcyjnego „Świtu”. Nie wiem, czy „Świt” był jedynym czasopismem mającym w swym komitecie Wojciecha Żukrowskiego, lecz niewątpliwie był pierwszym z tych, które tego zaszczytu dostąpiło. Sam zaś kolega Żukrowski dostępował już w tamtych czasach łaskawości muz, bowiem prócz okolicznościowych referatów dla Kółka Historyczno-Literackiego, miał się poezji, czego dowodem jest niżej cytowany wiersz.

A N T E N Y

Zachód: handlarz kolorowych chwil kram zwija.
Latarnie portowe zakwitają na wysmukłych sztychach.
Gwar wygasa, powietrze pachnie świeżym pićzywem.
Któs gra na flecie i aksamitne wykreśla krzywe.
Ulica cichnie, dzwonią w kościele sprzeciwiaka.
Zmierzch rośnie w zakurzonych, przy drodze stygnących oliwkach.

Rozpalony do białości świeci strzaskany marmur.
Senne jaszczurki pełzają wśród kapitelów i krabów.
Rzędem płomieni tryska szereg kolumnady.
Zamiast kwiatów mrok prószy księżycem zielonym i bładym.
Muzyka: cykady dzwoną cichutko, srebrną opowieść.
Noc ma szeroko rozwarte Ateny oczy sowie.
Księżyc się łamie, księżyc się ściele w esach-floresach.
Na marmur twardą sylwetkę kładzie cień Sokratesa.

Własne próby poetyckie wśród członków Koła Historyczno-Literackiego były naturalną konsekwencją systematycznej, solidnej pracy zrzeszonej tu młodzieży, która krok po kroku, sterowana przez panią Ostrowską — poznawała uroki rodzimej poezji. Recytowano więc na zebraniach Koła w roku szkolnym 1932/33 Wyspiańskiego, Staffa, Iłakowiczównę. Analizowano ich życie i twórczość, przygotowywano akademie i wieczory poświęcone każdemu z wymienionych poetów. W kwietniu 1933 roku na zebraniu zarządu Koła uchwalono zmianę: powołano mianowicie w skład zarządu kolegów z młodszych klas. I tak to, w myśl jakże słusznej idei wdrażania swych następców do czekających ich zadań, w prezydium Koła znaleźli się: Koleżanka Jadwiga Wenerowicz i kolega Zbigniew Melion, oboje z klasy VA. Jak się okazało, była to klasa wielce aktywna i z niemalymi aspiracjami, wydawała bowiem swój własny organ prasowy pod tytułem „Promień”. Pismo to, wydawane w formie manuskryptu, było najwidoczniej solą w oku zespołu redakcyjnego „Świtu”, gdyż na zebraniu Koła Historyczno-Literackiego w dniu 30 kwietnia 1933 roku poruszano między innymi sprawę „stosunku pisma p.n. „Promień”, wydawanego przez kl. VA, do „Świtu” — jak to zostało zapisane w księdze protokółów. Jak wynika z tegoż protokołu, dyskusja na ten temat długa była i obfitowała w różne koncepcje, nie odnotowano jednak, jaki był ostateczny jej wynik.

Do naszych dni zachował się jedynie pierwszy numer „Promienia” z 11 kwietnia 1933 roku, opatrzonej na karcie tytułowej wyjaśnieniem:

„Jednodniówka”, wydana z okazji imienin pana dyrektora Leona Ostrowskiego przez klasę VA P.G. im. T. Zana w Pruszkowie”.

Stronę tytułową zdobią kunsztowne draperie, kolumny i girlandy oraz symbole, rzec można, z różnych dziedzin: księgi i starożytne przybory astronomiczne, sztandary, sowa, a także pałac i hełm rycerski. Zważywszy okoliczność, na którą wydano ów numer pierwszy, starano się najprawdopodobniej, aby okładka gazetki wypadła jak najładniej. Na treść „jednodniówki” złożyły się: okolicznościowy wiersz koleżanki Maryli Komorowskiej zawierający życzenia imienninowe dla dyrektora, panegiryczny utwór prozą koleżanki Anny Katzówny, nowela „Wywiadówka” — pióra tejże koleżanki, patriotyczna nowela „Służba” — kolegi Zbigniewa Meliona, a na zakończenie wierszowana charakterystyka wszystkich uczniów klasy VA napisana przez koleżankę Marylę Komorowską.

Jak więc widać, talenty i aspiracje pisarskie krzewią się bujnie, toteż Koło Historyczno-Literackie pracuje — rzec by można — na pełnych obrotach. W listopadzie 1933 roku, zgodnie z zaleceniem Kuratorium Szkolnego, młodzież z Gimnazjum imienia Zana rozpoczęła korespondencję ze szkołą polską w Belgii. Korespondować z kolegami na obczyźnie mógł każdy uczeń, lecz pieczę nad tą akcją sprawowała utworzona w obrębie Koła Historyczno-Literackiego specjalna sekcja, na czele której stanęli: koleżanka Rupniewska i kolega Kowalewski. W tym samym czasie powołano również Sekcję Muzyczną. Rola tej ostatniej polegała na przygotowywaniu tak zwanych „chwil muzycznych”, na których program składały się prelekcje na temat wybranych kompozytorów lub wirtuozów i stosowna muzyka odtwarzana z płyt. Na przewodniczącego tej sekcji wybrano kolegę Jerzego Sokorskiego, który pozostał do dnia dzisiejszego wierny muzycznemu powołaniu.

Ożywiona praca Koła Historyczno-Literackiego miała niewątpliwy wpływ na wciąż rodzące się, coraz inne koncepcje co do redagowania szkolnej gazetki. Widocznie młodzież zaniacka nie była zadowolona ze swego wydawnictwa, chciała więc zmienić istniejący stan, zaczynając — co wydaje się zazwyczaj najłatwiejsze — od tytułu.

Wysunięto więc projekt, aby dotychczasowy tytuł gazetki „Swit” zmienić na „Młoda Myśl”.

Między udostępnionymi mi archiwaliami Gimnazjum im. Tomasza Zana, znajdował się tylko jeden zeszyt „Młodej Myśli” przechowywany, podobnie jak inne pamiątki, w prywatnych zbiorach nieocenionej „Stasi”. Zeszyt ten nosi datę 15 kwietnia 1934 roku i opatrzony jest numerem 1. Lektura artykułu wstępnego ukazuje nam kulisy i źródła inspirowane powstanie „Młodej Myśli”. We wspomnianym artykule czytamy bowiem: ... w każdym numerze znajdować się musiały wiersze (Zukrowski), nowele (Zukrowski), artykuły wstępne (Zukrowski) no i od czasu do czasu pesymistyczne reportaże”. Maestro, jeśli autor tych zjadliwych uwag przeczyta dziś własne słowa, można sobie wyobrazić, jak sobie pluje w brodę! Należy jednak oddać sprawiedliwość ówczesnemu zespołowi redakcyjnemu, że nie tłumił talentów i nie kierował się ciasnym subiektywizmem, gdyż mimo zastrzeżeń do kolegi Zukrowskiego jako redaktora „Switu”, nie zabroniono mu wstępu na łamy „Młodej Myśli” i w omawianym pierwszym numerze chluba naszej literatury występuje (wprawdzie w spółce autorskiej z W. Zalińskim — ale zawsze!) jako współautor „Reportażu z wagarów”.

W tymże numerze jest także nowela kolegi Stanisława Kowalczyka p.t. „Hitlerjugend maszeruje...” Stanisław Kowalczyk, świetnie zapo-

wiadający się poeta, nie mógł wiedzieć pisząc tę nowelę, w jak tragiczny sposób splecie się jego życie z wychowankami Hitlerjugend.

Nie zdołałam ustalić, jak długo ukazywała się „Młoda Myśl” w tej formie, jaką reprezentował jej pierwszy numer i ile numerów tego pisma ujrzało światło dzienne, wiadomo jednak z zachowanych protokółów Koła Historyczno-Literackiego, że na temat zarówno nowej „Młodej Myśli”, jak i istniejącego dawniej „Switu”, pod redakcją kolegi Franciszka Jezierskiego i przy współpracy kolegów Augustyniaka, Bielskiej i Stasiaka, będzie się ukazywać co pół roku, natomiast „Młoda Myśl” — w formie gazetki ściennej będzie dwutygodnikiem. Na czele zespołu redakcyjnego „Młodej Myśli” stanął kolega Kowalewski, zaś jego pomocnikami zostali następujący koledzy: Bagdach, Katzówna, Melion, Rupińska i Zukrowski. Rychło okazało się jednak, że praca związana z wydawaniem dwutygodnika jest zbyt absorbująca dla młodzieży i tak mającej poważne obowiązki związane ze szkołą, mimo więc jak najlepszych chęci, zmieniono pierwotną koncepcję. Poprzestano na „Swicie”, przemianowując to zacne pismo na kwartalnik, którego redaktorem naczelnym została koleżanka Katzówna, a jej współpracownikami koledzy: Rupińska, Lipińska, Zukrowski i Kowalewski.

Jednak zaniacy czytali prasę nie tylko własnej produkcji. Szkoła prenumerowała — oprócz gazety codziennej, którą był początkowo Ilustrowany Kurier Codzienny, a potem Gazeta Polska — 9 czasopism: „Iskry”, „Kuznia Młodych”, „Świat dziewcząt”, „Młody Technik”, „Morze”, „Polska skrzydlata”, „Dla przyszłości”, „Czyn młodzieży” i „Ziemia”. Wszystkie te czasopisma były dostępne dla ogółu uczniów w bibliotece szkolnej, zaś po upływie miesiąca przesyłane do Legii Cudzoziemskiej, na użytek pozostających w jej szeregach Polaków.

Prześledziwszy losy Koła Historyczno-Literackiego na tyle, na ile pozwalały na to istniejące dokumenty, poświęćmy nieco uwagi pracom Koła Klasycznego, które w listopadzie 1935 roku koncentrowało uwagę ogółu zaniackiej społeczności, w uznaniu jego trudów ku pożytkowi i ozdobie szkoły podjętych.

Jeszcze w 1933 roku, pod kierownictwem profesora Moczulskiego — łacinnika i fachowym nadzorem pana Wacława Prusaka, młodzież zrzeszona w Kole Klasycznym rozpoczęła trudną i odpowiedzialną pracę nad wymalowaniem sali rekreacyjnej na II piętrze w stylu rzymskim. Uczestniczyło w tym około 40 uczniów, wykonując odpowiednie fragmenty malowidła na arkuszach papieru, które zostały następnie nalepione na ściany na wzór tapet, tworząc harmonijną kompozycyjnie całość, tak zwaną „salę pompejańską”. Jednak trud, jaki poniesiono przy jej wykonawstwie, był większy niż trwałość malowideł na papierze. Chcąc zatem ochronić od zniszczenia owoce tak dużej inwencji i rzetelnej pracy, dyrektor Ostrowski wyasygnował odpowiednie sumy i podczas wakacji 1935 roku wszystkie obrazy z „tapet” naniesione zostały na ściany. Realizacja tego dzieła odbywała się pod nadzorem i kierownictwem pana Antoniego Wysockiego, ojca jednego z uczniów.

W tymże czasie członkowie Koła Klasycznego urzeczywistniali wspólnie jeszcze jedno poważne i nader pożyteczne zadanie: wykonywali własnoręcznie wszelkie roboty stolarskie dla mającej powstać pracowni humanistycznej, zaopatrując ją w niezbędne meble i urządzenia. Jeśli dodamy do tego obchód wergilijski, na który składało się przedstawienie sceniczne pierwszej Bukoliki oraz kilku scen z „Eneidy” Vergiliusa, liczne zebrania i pomoc dla kolegów, dla których łacina była równie groźna jak dżungla nocą — możemy sobie uświadomić, jak

wielką pracowitość, przykładne koleżeństwo i duch obywatelski iście w stylu wielkich Rzymian reprezentowała młodzież z Koła Klasycznego.

Toteż dzień 9 listopada 1935 roku, w którym odbyło się uroczyste otwarcie sali pompejańskiej i pracowni humanistycznej, był momentem skupiającym oczy całej zaniackiej społeczności na tej grupie młodzieży. Stąd numer 1 „Switu”, noszący datę otwarcia wspomnianych wyżej pomieszczeń, poświęcony był w lwiej części sprawom Koła Klasycznego. Sama uroczystość otwarcia uhonorowana została drukowanym programem, zgodnie z którym impreza obejmowała dwie części: I) zwiedzenie pracowni humanistycznej i sali pompejańskiej, II) część artystyczną. Na część drugą składały się referaty: opiekuna Koła Klasycznego — profesora Stanisława Moczulskiego oraz referat opracowany przez członków Koła: S. Rupińską, P. Nowickiego i S. Kowalewskiego, kilka pieśni w języku łacińskim wykonanych przez chór szkolny pod dyktando pana Prusaka, a na zakończenie przedstawienie komedii grecko-rzymskiej Plauta p.t. „Żołnierz samochwał”. Wśród piętnast osobowej obsady spektaklu widnieje nazwisko Wojciecha Żukrowskiego z VIII klasy, kreującego rolę Paestria — niewolnika żołnierza samochwały. Przedstawienie reżyserował profesor Moczulski, dekoracje wykonał pan Antoni Wysocki, kostiumy pochodziły — nie byle co! — z rekwizytorni Teatru Polskiego w Warszawie. Instalację elektryczną na potrzeby spektaklu wykonali własnymi siłami: kolega Karol Kamiński z klasy VIII i kolega Jerzy Koppa z klasy III. W programie zaznaczono, że przedstawienie zostanie powtórzone jeszcze dwukrotnie: w dniu 10 i 11 listopada 1935 roku. Chciałoby się napisać w tym miejscu: „...i ja tam byłam”..., ale nie było mnie tam, a szkoda.

Obok kół zainteresowania, pracowała nader aktywnie także „Samopomoc Koleżeńska”. Zachował się „Regulamin pożyczek” Samopomocy Koleżeńskiej przy Gimnazjum im. T. Zana. Dowiadujemy się z tego dokumentu, iż pożyczki udzielane są jedynie członkom zwyczajnym oraz że dzielą się na:

- honorowe w wysokości do 15 zł
- krótkoterminowe w wysokości do 35 zł
- długoterminowe w wysokości do 50 złotych.

Pożyczki „honorowe” zawdzięczają swą nazwę prawdopodobnie temu, że celem ich zaciągnięcia nie trzeba było przedkładać pisemnej aprobaty opieki domowej, jak to miało miejsce przy zaciąganiu pożyczek krótko- i długoterminowych. Zwrot pożyczek honorowych musiał nastąpić w terminie miesiąca od momentu zadłużenia, zaś ubiegać się o nie mogli jedynie uczniowie klas siódmych i ósmych. Regulamin podkreślał, że niewywiązanie się z terminowego zwrotu pożyczki honorowej pozbawia niesolidnego dłużnika raz na zawsze prawa do korzystania z pożyczek Samopomocy Koleżeńskiej.

Samopomoc Koleżeńska dysponowała także Funduszem Wycieczek. W okresie od 10 marca 1934 do 24 marca 1935 r. zorganizowano 8 wycieczek, w tym 3 na przedstawienia teatralne, 3 do opery, 1 do ogrodu zoologicznego oraz 1 na wystawę mickiewiczowską. Fundusz pomógł nadto w zorganizowaniu trzech wycieczek inspirowanych przez inne organizacje działające na terenie szkoły, a mianowicie dwie na wykłady specjalistyczne i jedną na akademię misyjną w Filharmonii.

Jak więc widać, nawet imprezy w zasadzie rozrywkowe, jakimi są wycieczki, były podporządkowane celowi wyższemu, to jest nauce, rozszerzaniu horyzontów, kształceniu młodzieży w szerokim rozumieniu tego słowa. Nad przestrzeganiem tej zasady czuwało u Zana całe grono pedagogiczne z dyrem na czele.

Płynęło tedy wypełnione nauką życie u Zana nurtem ujętym w twarde cugle „Baranowej” dyscypliny. „Szkoła Zana — cyrk Barana” — mawiali złośliwcy. Lecz zaniacy nie brali sobie zbyt do serca owych docinków, bowiem byli przekonani o wyższości swojej „budy” pod względem poziomu nauczania. A że dyscyplina? To i cóż, humoru nikomu to nie psuło, inwencja sztubacka nie zna przeszkód, by w szarość szkolnej codzienności wpleść wisielczy humor, zrobić kawał profesorowi, rozśmieszyć klasę, „wyciąć” psiego figla koledze. Na dowód prawdziwości powyższych wywodów pozwolę sobie przytoczyć wspomnienia kolegi Zbigniewa Meliona.

Profesor Mieczysław Warpechowski, opiekujący się — jak to uprzednio wspomniałam — Kolem Historycznym, miał pieczę także nad Przystosowaniem Wojskowym, organizacją ćwicząca chłopców, począwszy od klasy czwartej, w opanowaniu żołnierskiego rzemiosła. Na zajęcia z PW koledzy z najstarszych klas wkładali zielone mundury z granatowymi naszywkami na kołnierzach i prawdziwe wojskowe pasy, co przyprawiało o żywsze uderzenia serca wiele koleżanek. Profesor Warpechowski był liniowym oficerem w czasie pierwszej wojny, miał wojskową postawę i zamaszyste ruchy. Był także na początku lat trzydziestych zabójczo przystojnym brunetem z czarnym kokieterijnym wąskiem i bujną czupryną. Była wszakże jedna skaza na fascynującej urodzie profesora Warpechowskiego, czyli „Pechowera”: jego chód. Idąc, „Pechower” miał palce stóp zwrócone na zewnątrz, zaś pięty jedna tuż przy drugiej. Ten sposób poruszania się demonstrował onego czasu na ekranach kin niezapomniany Charlie Chaplin. Kiedyś chłopcy mieli zajęcia z PW i właśnie stali w dwuszeregu, kiedy z pokoju nauczycielskiego wyszedł „Pechower” w kapeluszu i płaszczu. Zobaczywszy „swoich” elewów, profesor podszedł bliżej tym swoim przedziwnym krokiem, a stanąwszy przed frontem oddziału, uchylił kapelusza i zawołał:

— Czołem, żołnierze!

Nawet ludzie całkowicie pozbawieni poczucia humoru mieliby trudności z utrzymaniem powagi w tym momencie, a zaniacy mieli takowe w nadmiarze. Toteż cały oddział ryknął, zamiast odpowiedzi, homeeryckim śmiechem. „Pechower” zaś zmienił się na twarzy, lecz nie rzekłszy ani słowa, wszedł z powrotem do pokoju nauczycielskiego.

Chłopcy zorientowali się w mig, że należy profesora przeprosić. Wybrali zatem delegację złożoną z kolegów: W. Augustyniaka i W. Stasiaka, którzy zastali „Pechowera” z głową wspartą na rękach i z wyrazem oczu, jakiego nigdy u niego nie oglądali. A kiedy zaczęli bąkać formułkę przeprosin, dziarski, surowy i nie tracący nigdy dotąd fasonu Pechower — rozplakał się.

— Jestem oficerem I Brygady — mówił zdławionym głosem. — Byłem w tylu różnych opresjach, ale nigdy nie spotkało mnie coś równie przykrego. I chłopcy poczuli się fatalnie, nie znajdując nic na swoje usprawiedliwienie.

Był to wypadek jedyny w swoim rodzaju, gdyż profesor Warpechowski potrafił opanować się jak mało kto. Do legend szkolnych przeszedł kawał, jaki „Pechowerowi” urządzono kiedyś na lekcji historii. Otóż podłożono mu, ni mniej ni więcej, petardę pod nogę krzesła. „Pechower” usiadł, rozległ się huk, katedrę objął obłok dymu, zaś nieustraszony profesor nawet nie drgnął, tylko otworzywszy dziennik zaczął sprawdzać spokojnie listę obecności.

Niektóre sytuacje, które bawiły jednych, dla innych były kłeską tym boleśniejszą, że nie zasłużoną. Tak właśnie rzecz się miała z wie-

czorem literackim, urządzonym przez uczniów dla uczczenia imienia dyrektora Ostrowskiego, czyli Barana. Program przygotowany był wcześniej przez kolegów Żukrowskiego i Meliona. Zebrali się uczniowie wszystkich klas, zaś sam solenizant przyszedł na uroczystość przeprosiwszy gości, którzy zebrali się w jego mieszkaniu. Baran zasiadł w pierwszym rzędzie w otoczeniu ciała pedagogicznego, sala wypełniona po brzegi młodzieżą zamarlała w milczeniu i rozpoczęto „działalność artystyczną”. Niestety, niebawem okazało się, że skutkiem fatalnego przeoczenia program jest zbyt skąpy i produkcje recytatorsko-sceniczne trwały zbyt krótko. Zarówno kolega Melion jak i Żukrowski byli w poważnym kłopotcie, gdy nagle koledze Żukrowskiemu przyszła do głowy zbawienna myśl:

— Chodź, będziemy się wygłupiać — zaproponował. Kolega Melion nigdy nie pozostawał głuchy na tego typu wezwanie. Wyszli tedy na scenę obaj koledzy i rozpoczęli swoistą komedię „dell’arte”, udając pijaków, bo to nie wymagało przygotowania, gdyż jako mieszkańcy Pruszkowa mieli co dzień na ulicach miasta aż nadto pierwowzorów. Sami wykonawcy byli zupełnie z siebie zadowoleni, lecz ich błogostan przerwał brutalnie głos „Barana”:
— Wy artyści! Kiepskie literaty! To ma być przedstawienie? Grafo-many! — huczał dyro. A przecież tak bardzo chcieli żeby ich imieni-nowy program zdołał rozmieszyć Barana!

Jednym z najpiękniejszych kawałów sztubackich w dziejach Zana, świadczącym o efektywnym zgłębianiu praw fizyki przez wychowan-ków tej szkoły, było podsłuchiwanie sesji maturalnej w połowie lat trzydziestych. Dzieła podjęli się koledzy: Jan Świerczewski, Leszek Chełmiński, Mieczysław Kruszewski, Zbigniew Melion, Konstanty Grad i Władysław Skrzypiński. Inicjatorzy całej tej akcji korzystali z po-mocy jednego z dwóch woźnych, pana Stasia. Plan był prosty i miał wszelkie szanse powodzenia, gdyby nie złośliwość losu, krzyżującego przez głupi przypadek najgenialniejsze poczynania.

Na kilka dni przed terminem sesji, szóstka spiskowców zainstalo-wała z żardzinierze, stojącej przy oknie w pokoju nauczycielskim, mi-krofon, od którego drut przeciągnięto przez okno na zewnątrz budynku, po murze aż na trzecie piętro i tam znów przez okno — na strych, gdzie umieszczono odbiornik w postaci aparaciku radiowego ze słu-chawkami. Całe to urządzenie, acz wykonane przez amatorów, dzia-łało bezbłędnie, co z satysfakcją stwierdzili realizatorzy tego heroicznego planu, zgromadzeni na strychu w dniu, w którym miała się od-być historyczna sesja. Ze słuchawkami przy uszach, z przygotowanymi notesami — żeby nie uronić ani jednej rewelacji, o której będą roz-prawiać pedagogzy — spiskowcy trwali w ciszy, w której łomotały tylko ich pełne emocji serca. A tymczasem zgromadzeni na niższym piętrze nauczyciele zajmowali już miejsca, witano się, wymieniano uwa-gi, lada moment miały zacząć się obrady nad losami wychowanków. I w tym właśnie momencie profesor Tomasiak, wykładowca matema-tyki, tak zwany „Sznurek” lub „Szpagat”, podszedł do okna, żeby za-palić papierosa zanim zacznie się konferencja. Niestety, „Sznurek” miał wzrok równie bystry jak umysł i natychmiast spostrzegł mikro-fon tkwiący bezczelnie wśród asparagusów i trzykrotek. Ocenivszy sy-tuację, „Sznurek” bez słowa podszedł do dyrektora i przyprowadzi-wszy go do fatalnej żardiniery, pokazał mikrofon i ciągnący się odeń przewód. Baran najpierw zdębiał, potem chciał coś powiedzieć, ale „Sznurek” gestem nakazał mu milczenie, gdyż jedno nieopatrzne słowo byłoby ostrzeżeniem dla podsłuchujących. Baran pojął w czym rzecz

I obaj panowie bez słowa wyszli z pokoju, udając się na strych. Spiskowcy musieli brać pod uwagę różne warianty przebiegu wypadków, lecz nie przewidzieli, że tuż za ich plecami rozlegnie się w pewnym momencie głos dyra:

— A, co tu się dzieje? Wszyscy wychodzić, precz! —

Wszystkim, którzy maczali palce w tej tak niefortunnie zakończonej imprezie, groziło wydalenie ze szkoły. Rodzice tych nieszczęśliwych „geniuszów fizyki” byli zrozpaczeni, ale na koniec „Baran” dał się przebłagać, zwłaszcza, że w grę wchodził uczniowie należący do najlepszych, a ponadto nie dopuścili się jeszcze „przestępstwa”, bowiem nakryci zostali w momencie, kiedy obrady dopiero miały się rozpocząć. Skończyło się więc na obniżeniu stopnia ze sprawowania oraz publicznym napiętnowaniem wobec całej szkoły. Sześciu winowajców, stojąc przed frontem wszystkich kolegów, wysłuchać musiało ostrej jak nóż tyrady „Barana”:

— Przypatrzcie się tym tutaj! Wykorzystując swoje, zresztą słabe, wiadomości z fizyki, usiłowali podsłuchać sesję! — grzmiał dyro.

Kolega Zbigniew Melion, jeden z bohaterów całej imprezy, wspomina, że kiedy tak stali ze zwieszonymi głowami, usiłując nadać twarzom wyraz szczerzej skruchy i pokory, trącił go w bok stojący obok kolega Mieczysław Kruszewski:

— Ty, płaczesz? — zapytał szeptem, najwyraźniej traktując swą rolę pokutnika z dużą przesadą.

Aby obraz życia naszej znacznej szkoły w latach trzydziestych był pełny, wydaje się słusznym przedstawić na tym miejscu jej codzienne życie, gdyż dla pokoleń powojennych zawiera ono wiele elementów zgoła niepojętych, jakby z pogranicza legendy.

A więc przede wszystkim: strój. Drogie koleżanki i koledzy, którzy dziś zasiadacie ławy Liceum im. Tomasza Zana odziani w różnokolorowe sweterki, dzinsy i sztruksy, cepeliowskie garsonki i koszule z Pewexu — jakże inaczej wyglądały klasy w naszych czasach! Byliśmy ubrani identycznie, wszyscy i na każdą okoliczność, możecie sobie to wyobrazić? W zwykłe dni dziewczęta nosiły do szkoły granatowe wełniane plisowane spodniczki (szerokość plis była ściśle określona!) do tego granatowe wełniane bluzki przepisowego kroju, z punktu widzenia atrakcyjności — beznadziejne! Na to wszystko wkładałyśmy czarne fartuchy z rękawami, których jedyną ozdobą był biały kołnierzyk. Na nogach wolno było nosić tylko grube pończochy (żadnych tam jedwabnych, nie mówiąc o tak zwanych „gazowych” — będących szczytem wyrafinowania w latach trzydziestych) w kolorze brązowym lub czarnym. Palta zimowe i letnie były również jednolitego, przepisowego kroju. Okrycie głowy dla dziewcząt stanowiły granatowe berety ze znaczkiem szkoły na froncie. Chłopcy nosili granatowe mundurki, ze spodniami długimi lub tak zwanymi „pumpami”, bufiastymi spodniami „sportowymi”, zapinanymi pod kolanem na pasek, do których obowiązywały ciemne „podkolanówki”. Mundurki dla płci obojga i czapki chłopców miały wypustki: niebieskie dla klas gimnazjalnych (klasa I, II, III i IV) czerwone dla klas licealnych (klasa I i II). Takie same kolory przewidziane były dla tarcz z numerem szkoły, które musiały być uczciwie, dookoła całego obwodu przyszyte do rękawów mundurków i okryć. Na rękawach fartuchów szkolnych dziewczęta wyszywały kontury tarczy i numer szkoły nicią niebieską lub czerwoną. Na bale szkolne, przedstawienia teatralne, na akademie i inne uroczystości — dziewczęta wkładały strój „galowy”, to jest do nor-

malnej, przepisowej spódnicy — białą bluzkę (krój, oczywista, przepi-sowy) zawiązany niebieską lub czerwoną wstążeczką czy aksamitką.

Galowy strój chłopców stanowił tenże sam mundurek, tyle, że z długimi spodniami. Wyglądaliśmy jak jakieś bractwo zakonne albo dziwne wojsko. Tyle, że jak w dni świąt narodowych szliśmy ze sztandarem do kościoła to było na co popatrzeć: kolumny identycznie ubra-nej młodzieży wyglądały bardzo „pochodowo”, naprawdę pięknie. Do kościoła zresztą chodziliśmy często: w każdą niedzielę musieliśmy zbierać się w szkole, skąd parami maszerowało się do kościoła, szkoła odbywała razem rekolekcje przed świętami Wielkanocnymi oraz uczestniczyła w nabożeństwach podczas wszystkich świąt narodowych.

W roku szkolnym 1938/39, po niedzielnej mszy szkolnej były kilka-krotnie organizowane na terenie Gimnazjum Zana poranki muzyczne. Nie potrafiłam ustalić, czy odbywały się one sumptem Koła Rodziciel-skiego, czy też dykcji, ale jedno jest pewne: były to imprezy bardzo popularne wśród młodzieży i do dziś wspominane z sentymentem. Korzyści, płynące z uczestnictwa w owych porankach, były — rzecz można — z różnych dziedzin. Przede wszystkim można było posłuchać „na żywo” wielu popularnych śpiewaków, znanych głównie z audycji ra-dioowych. Koleżanka Teofila Jakubowska-Pytkowska, mająca iście kom-puterową pamięć, przypomniała, że produkowali się na porankach u Zana między innymi: Lucyna Szczepańska — zwana słowikiem War-szawy, Aniela Szlemińska, Witold Zabejda-Sumicki i bas, czy też bas baryton, którego imię umknęło z pamięci fenomenalnej Teofili — naz-wiskiem Bander.

Podczas każdego koncertu prowadzono konferansjerkę w formie lekkiej, przepłatanej anegdotami pogadanki, wprowadzającej młodzież w arkana muzycznej wiedzy. Program był zatem pomyślany i realizo-wany pod hasłem „miłe z pożytecznym”. Korzyścią niejako „uboczną”, lecz jakże miłą, uczestniczenia w porankach była możliwość siedzenia obok swojej sympatii. Brzmi to może niewiarygodnie, boć mowa o szkole koedukacyjnej, ale faktem jest, że w tamtych czasach u Zana dziewczyny miały oddzielne szatnie, oddzielne ławki w klasie, na aka-demiach po jednej stronie sali zasiadali chłopcy, po drugiej dziewczę-ta, ba- nawet klatki schodowe były oddzielne. Niezależnie od opisanych podziałów „terytorialnych”, nauczyciele, patrolujący korytarze i sale rekreacyjne w czasie przerw, starannie zaganiali chłopców do chłop-ców, a dziewczyny do dziewczyn, żeby nie było żadnych tam gruchań, umizgów i zalotów. A na takim poranku można było siedzieć wedle woli. Koledzy mogli wybranki swego serca ciągnąć ukradkiem za wār-kocze, częstować miętówkami i patrzeć przenikliwie w oczy. Poranki muzyczne miały więc niezachwianą popularność i ogromną frekwen-cję wśród młodzieży zaniackiej.

Przed lekcjami cała szkoła zbierała się na rannym apelu (latem na boisku szkolnym, zimą w salach gimnastycznych), którego program obejm-ował wspólną modlitwę i ewentualne przekazanie nam aktualnych na dany dzień komunikatów, jak na przykład badania lekarskie, wy-cieczka czy wysłuchanie audycji radiowej. Po ostatniej lekcji również odmawiało się modlitwę, ale już każda klasa z osobna.

Istniał także uświęcony tradycją ceremoniał związany z począt-kiem roku szkolnego. W określonym dniu cała młodzież w strojach galowych oraz pedagogzy w komplecie, zbierała się na boisku szkol-nym, skąd czwórkami, w dwóch kolumnach: najpierw dziewczęta, po-tem chłopcy — udawali się wszyscy do kościoła. Na czele kroczył po-

czet sztandarowy, składający się z chłopca niosącego sztandar i dwóch koleżanek w asyście. Po nabożeństwie w tym samym porządku wracali wszyscy do szkoły, gdzie wygłaszał mowę powitalną dyrektor, a następnie odbywało się tak zwane powitanie. Polegało to na tym, że dyrektor wyczytywał wszystkie nazwiska uczniów poczynawszy od klasy IA, zaś wyczytani podchodzili kolejno do ustawionego w centralnym miejscu stołu prezydialnego, przy którym królował Baran w otoczeniu ciała pedagogicznego, składając ukłon: dziewczyny wykonywały staroświecki „dyg”, a chłopcy strzelali obcasami. Niby nic, ale dla pierwszoklasistów był to moment nie lada próby nerwów, tym bardziej, że Baran nie występował bynajmniej w roli dobrej wróżki ułatwiającej nowiczkom ich pierwsze kroki w nowej szkole. Przeciwnie! Nie rzadko docinał coś celnie speszonym pierwszokom, na przykład:

— A ty co? Masz lumbago, żeś taki sztywny? Ukłoń-no się jak Pan Bóg przykazał! —

— A ty wierzgasz, czy dygasz? No pokaż nam, jak się kłania! —

Koledzy ze starszych klas, starzy wyjadacze, mieli ubaw jak mało kiedy, patrząc na heroiczne zmagania się pierwszoków z nagle zeszywniałymi nogami i płaczącymi się rękami.

Dopiero po zakończeniu ceremonii powitania, poszczególne klasy z wychowawcami udawały się do sal lekcyjnych.

Przerwy między lekcjami wolno było spędzać wyłącznie w salach gimnastycznych lub w sali rekreacyjnej (owej słynnej „pompejańskiej”), lub na podwórku szkolnym, jeśli pora pozwalała na to. W klasach mogli, a nawet mieli obowiązek, pozostawać jedynie dyżurni. Były dwie duże przerwy między lekcjami, które wiara uczniowska wykorzystywała rozmaicie, według potrzeb i inwencji. W tym czasie, kiedy zaczęłam naukę w Gimnazjum Zana, to jest w roku szkolnym 1938/39, na dużych przerwach można było korzystać z bufetu, zorganizowanego przez Koło Rodzicielskie, który serwował za drobną opłatą drugie śniadania w różnych zestawach: bułka z wędliną i herbata, mleko i bułka z serem, kakao i bułka z masłem. Podczas przerw, „pauz” — jak się mówiło wtedy, we wszystkich salach grała muzyka z adapteru. Wybór płyt nie był zbyt duży, toteż powtarzały się nader często niektóre aktualne szlagiery: walc z filmu „Nicpoń”, „Violetta”, „Ośła serenada” — obijały się o mury Zana przynajmniej raz na dzień, więc dziś jeszcze, zawsze, ilekroć je usłysze, widzę nieodmiennie salę gimnastyczną na pierwszym piętrze i gromadki kolegów spacerujące w takt tej melodii.

Na sali pierwszego piętra był także sklepik szkolny, który stanowiła sporych rozmiarów oszklona szafa.

Podczas przerw koleżanki prowadzące sklepik otwierały jej drzwi i wnet napływała klientela. Można było tu kupić materiały piśmienne i słodczyce. Szczególnym powodzeniem cieszyły się wafle w kształcie wąskich listewek przekładane masą o smaku śmietankowym lub czekoladowym. Była to istna pokusa, coś na kształt nałogu, który rujnował sztubackie kieszenie.

W okresie świąt Bożego Narodzenia 1938 urządzona była choinka dla całej szkoły, podczas której wszyscy nauczyciele oraz koledzy z klasy II Liceum — maturalnej — dostawali symboliczne prezenty, nawiązujące z reguły do ich przywar, przydomków i życia osobistego. Pamiętam, że dyrektor Ostrowski, dostał wówczas w prezencie Nagrodę PKP za „wykrywanie pasażerów na gapę w klasie II licealnej pociągu numer 26”. Profesor Tomasik — Sznurek vel Szpagat — dostał lalcz-

kę ubraną w strój panny młodej, jako że był kawalerem. Koleżanka Anna de Weyher — figurkę żyrafy, przy wręczaniu której kolega udający świętego Mikołaja wygłosił formułkę „Chociaż swym wzrostem się szczyzisz, jednak żyrafy za rogi nie chwycisz”.

Prezenty — aluzje były tradycją u Zana. Kolega Melion pamięta, że na gwiazdkę w 1935 roku dyrektor Ostrowski otrzymał motek wełny (wiadomo: „Baran!”) ale żeby dyra nie urazić, święty Mikołaj objaśnił, że jest to wełna, z której pani dyrektorowa robi dla męża rękawiczki. Profesor Tomasik otrzymał wówczas kawałek linki (coż może być odpowiedniejszego dla Szpagata?) z kamuflującym objaśnieniem, że jest to sznurek, przy pomocy którego powinien spróbować silniej przywiązać uczniów do matematyki. Profesor Zdanowski „Hefajstos” wykładający fizykę — dostał w prezencie młotek do rozbijania atomów. Rozbicie atomu i wykorzystanie jego energii było wtedy czystą teorią, naukową mrzonką. Profesorowi Warpechowskiemu wręczył święty Mikołaj żelazko do prasowania spodni, profesor Januszewska — germanistka — otrzymała płyn na porost włosów, a ksiądz prefekt Malewski, który zanudzał wychowanków apelami o zbieranie folii z czekolady „na wykup murzynków”, został obdarowany „sierotką na wychowanie”.

Rok 1939 zaczął się zwyczajnie i nikt nie przeczuwał, że będzie to rok przełomowy nie tylko dla Polski, lecz dla całego świata. Ale straszne oblicze tego roku miało się ukazać dopiero za kilka miesięcy, narazie życie toczyło się zwykłym nurtem. W archiwum szkoły zachował się list Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego z dnia 19 stycznia 1939 roku, w którym powiadamia się dyrekcję Gimnazjum Zana, że w Towarzystwie Przyjaciół Weteranów 1863 roku szkoły mogą nabywać (także na kredyt) komplety reprodukcji plansz Artura Grottgera obejmujące cykle: „Warszawa”, „Polonia” i „Wojna”. Dochód z wydawnictwa plansz przeznaczony był na Dom Wdów po weteranach 1863 roku. Nie wiadomo, czy nasza szkoła skorzystała z oferty, ale faktem jest, że plansze Grottgera nie zdobyły nigdy jej ścian. Za to sam los nakreślił niebawem na murach Gimnazjum obrazy o ilez bardziej tragiczne.

Przyszła wiosna 1939 roku. Cała szkoła wysłuchała słynnego przemówienia ministra Becka, w którym deklarował, że Polska nie da się odepchnąć od Bałtyku. Dla nas wszystkich, słuchających tych słów, było to oczywiste, a ponura groźba niemieckiej inwazji nie zdołała zachwiać naszej wiary, że wszystko to, do czego przywykliśmy, pozostanie niezmiennione. Nie umieliśmy sobie wyobrazić, aby ład naszego życia mógł ulec zamięnieniu.

Maj upłynął pod znakiem egzaminów dojrzałości, które w 1939 roku odbyły się w dniach 10 i 11 tego najpiękniejszego miesiąca, przynosząc sukces dziewięciu z dziesiątki zdających.

Ostatni dzień roku szkolnego 1938/39 był — zgodnie z tradycją — przeznaczony na wycieczkę do lasu do Komorowa. Poszła cała szkoła, łącznie z ciałem pedagogicznym, które — jako nieco już zmęczone życiem — jechało na kilku wynajętych w tym celu bryczkach. Był przepiękny dzień czerwcowy i choć w drodze powrotnej luną niespodziewany deszcz, wycieczka była udana.

W lipcu 1939 roku staraniem Koła Rodzicielskiego zorganizowano kolonie letnie dla uczniów Gimnazjum i Liceum w Riczce na Pokuciu. Odbyły się także egzaminy wstępne do pierwszej klasy gimnazjum. Wspaniale było pomyśleć, że oto już nie będzie się uczennicą najmłodszej klasy. „Te dzieci! — mówili o pierwszoklasistach starsi koledzy,

więc niechże nas ktoś zastąpi w tej roli, my już jesteśmy drugą klasą, ustawioną „oczko wyżej” w hierarchii szkolnej.

Mając jeszcze żywo w pamięci własne rozterki związane z egzaminem do gimnazjum, polecałyśmy w kilka koleżanek do szkoły, żeby ucieczyć oczy widokiem stremowanych zdających, na zasadzie „jak to dobrze, że to nie ja”. Jeszcze jeden nader ważny powód pchał nas w progi budy, a mianowicie satysfakcja przekroczenia progu szkolnego w „cywilnej” sukience, kolorowej, letniej sukience, a nie żadnym tam mundurku, który obrzydził nam przez minione dziesięć miesięcy dokumentnie.

I tu los zrobił nam brzydki kawał: nigdy już więcej nie włożyłyśmy szkolnego mundurka, jak również nigdy nie przekroczyłyśmy progu budynku przy ulicy Klonowej w charakterze uczennic.

Wakacje 1939 roku zakończyły ważny etap w życiu całej polskiej młodzieży, a także w egzystencji naszej szkoły. Do chwili wybuchu wojny Gimnazjum i Liceum im. Tomasza Zana ukończyło 196 osób, rekrutujących się ze wszystkich warstw społecznych Pruszkowa: inteligencji, robotników, rzemieślników i okolicznych rolników. Fakt zdobycia matury stanowił dla jednych szczyt życiowego awansu, dla innych otwierał zaledwie drogę do dalszego kształcenia się, zawsze jednak był poważnym osiągnięciem.

Wydaje się słusznym wyrażenie na tym miejscu uznania dla grona pedagogicznego naszej szkoły, że mimo ciężkich warunków, z jakimi borykano się — zwłaszcza w latach dwudziestych — utrzymamy został wysoki poziom nauczania i wychowania młodzieży.

Zaszczepiono także zaniakom gorący patriotyzm i poczucie obywatelskiego obowiązku, czego dowody mieli niebawem złożyć.

TRWAĆ I PRZETRWAĆ

Lato w 1939 roku było piękne, toteż młodzież, wracająca pod koniec sierpnia do domów z wakacyjnego odpoczynku, była jak zawsze tryskająca radością życia, rozbawiona i pełna wrażeń.

Wprawdzie prasa i radio koncentrowały się głównie na zagadnieniu możliwości inwazji niemieckiej na Polskę, a „starzy” snuli różne hiobowe prognozy, ale w czym problem? Jeżeli Szkopy wejdą do Polski, to dostaną taką nauczkę, że popamiętają. Mamy świetną armię, jaki wspaniały duch panuje wśród naszych żołnierzy! A w dodatku nie jesteśmy sami, mamy sprzymierzeńców, którzy nie pozwolą na pogwałcenie naszej suwerenności, więc czym się tu przejmować?

Taki mniej więcej był tok rozumowania niemal całej polskiej młodzieży, wychowanej w duchu patriotyzmu i niezachwianej wiary w potęgę oręża, geniusz wodzów i trwałość sojuszów drugiej Rzeczypospolitej. Podobnie myślała także młodzież zaniacka, stanowiąca elitę młodej generacji Pruszkowa. Nic więc nie mąciło ich radosnego podniecenia płynącego z optymizmu zadufanych w sobie zielonych lat.

Patrzyli zatem z pobłażliwością na krzątanie matek, gromadzących zapasy żywności „na kilka dni” — w myśl zaleceń komunikatów radiowych, pomagali nalepiać na szyby krzyżujące się paski papieru, które miały chronić szkło okienne przed wypadnięciem w razie bom-